

KAZIMIERZ RÓWNY\*

## Konieczność poprawy jakości prywatnego szkolnictwa wyższego w Polsce\*\*

### 1. Uwagi wstępne

Tocząca się w środkach informacji publicznej dyskusja o reformie szkolnictwa bardzo słabo dotyka kwestii jego jakości. Piszę „szkolnictwa”, gdyż całe ono, począwszy od początkowego [1], stanowi system naczyń połączonych i jego jakość jest w specyficzny sposób wzajemnie od siebie uzależniona. Ponieważ poszczególne etapy kształcenia (od szkoły podstawowej po doktorat) stanowią łańcuch ogniw, z których każde wzajemnie wzmacnia, lub osłabia, siłę całości, to poprawa jakości całego procesu kształcenia powinna być głównym celem reformy. Powinna ona w sposób kompleksowy objąć zarówno szkolnictwo podstawowe, średnie, jak i wyższe. Jednakże dotychczas wypowiadający się (poza nielicznymi wyjątkami [2]) – wzorem dziennikarzy przedstawiających bieżące informacje – koncentrują uwagę na wybranych – ujawnianych w mediach – przez oba właściwe resorty, cząstkowych (choć bardzo ważnych) elementach. Oczywiście powinny one być brane pod uwagę przy reformie kształcenia (np. szybkich działań zaradczych wymaga degenerujące kupowanie przez studentów, najliczniej przez niestacjonarnych, prac dyplomowych oraz przez uczniów klas maturalnych „prezentacji” z języka polskiego [3], warto też staranie rozważyć, co ma poprawić propozycja rezygnacji z prac dyplomowych lub likwidacja habilitacji), jednakże ważniejsze jest pytanie o kształt właściwej sylwetki człowieka i obywatela w globalizującym się życiu coraz większej liczby ludzi na świecie.

Można sądzić, że dopóki takie pytanie nie zostanie postawione przez właściwe czynniki rządowe (a jest to ich niewątpliwy – mocno spóźniony – obowiązek) oraz dopóty nie

---

\* Prof. dr hab. Kazimierz Równy, Katedra Prawa Międzynarodowego, Wydział Prawa, Wyższa Szkoła Zarządzania i Prawa im. Heleny Chodkowskiej w Warszawie. Autor ma około sześćdziesięcioletnią praktykę nauczyciela akademickiego w krajowych uczelniach państwowych oraz zagranicznych (w tym w charakterze eksperta UNESCO na Uniwersytecie Obafemi Awolowo w Ile-Ife, później także na Wydziale Prawa Uniwersytetu w Jos (Plateau State) w Nigerii. W praktyce tej mieści się także dziesięciolecie pracy w trzech wyższych szkołach prywatnych w Polsce.

\*\* Wbrew przyjętym terminom prawnym (publiczne ↔ niepubliczne), w niniejszym artykule (jak i w życiu) używam przymiotników „państwowe” i „prywatne” jako bardziej adekwatnych w odniesieniu do wspomnianych typów szkół wyższych. Wszak wydawane dyplomy jednych i drugich szkół – przynajmniej formalnie – mają jak najbardziej publiczny charakter. Zdaje się, że w tym przykładzie mamy również do czynienia z niezbyt przemyślaną „reformą” nazewnictwa na mniej adekwatną (zamazującą sens rzeczy).

zostaną znalezione na nie optymalne odpowiedzi, trudno będzie proponowane reformy edukacyjne uznać za zmierzające w kierunku istotnej poprawy obecnego stanu, a tym mniej za spełniające nadzieje szkolnictwa XXI wieku. Poszukiwanie odpowiedzi na wspomniane pytanie mogłoby stanowić zasadniczy punkt wyjścia do ustalenia zestawu skorelowanych przedsięwzięć uzdrawiających, łącznie z eliminowaniem przejawów degeneracji wyższego szkolnictwa prywatnego, a tym samym całego naszego życia społecznego (tak dobitnie odzwierciedlanego na najwyższym szczeblu znaczącej części, głośnych w mediach „wybrańców narodu”, do polskiego parlamentu). Podjęcie takich działań można by też nazwać właściwym „wyższym lotem” w omawianej dziedzinie. Warto by przy tym „locie” przede wszystkim poddać krytycznej analizie nie tylko wyrwykowe sprawy, jak kanony lektur w szkołach podstawowych i średnich, ale przede wszystkim anachroniczność programów wielu kierunków i metod kształcenia, zwłaszcza w naukach społecznych (prawo i administracja, zarządzanie, ekonomia itd.), a także przyrodniczych. Wiele z nich w minionych dziesięcioleciach rozbudowano (podobnie, jak katedry i zakłady naukowe) pod tematy prac habilitacyjnych, a nawet doktorskich (lub poszczególne wysoko postawione osoby), z utratą ogólniejszej perspektywy widzenia rozwoju świata, a zatem i sylwetki absolwenta dla długofalowych potrzeb bytowania gatunku ludzkiego na Ziemi. Ponadto z nowymi zagrożeniami tego gatunku wyłoniła się potrzeba mocniejszego kształcenia umysłów pod kątem zapobiegawczego likwidowania lub (przynajmniej) minimalizacji szkód w środowisku przyrodniczym. Wiele jednak wskazuje, że ta „wyższa szkoła jazdy” nie jest jeszcze marzeniem spędzającym sen z oczu rządzących Polską partii politycznych.

Pozostawmy więc tymczasem na uboczu wspomniane „wyższe sfery rozważań” i najpierw uświadomijmy sobie realia obecnego zagubienia w naszym kraju elementarnych reguł w tej niezwykle ważnej dziedzinie życia i działalności społecznej. Z różnych przyczyn nasze szkolnictwo nabyło wiele rażących swoistości, którym nadziwić się nie mogą pedagodzy z krajów zachodnich, a także co bardziej wrażliwi Polacy. Stały się one tak powszechne i tak „weszły w krew” (nienależycie poddane samokontroli w środkach informacji publicznej), że uchodzą już w Polsce za właściwe normy postępowania. Bliższe zbiorowe przyjrzenie się im mogłoby oświetlić stan naszego szkolnictwa i wskazać konieczne systemowe sposoby likwidacji elementarnych anomalii, bez usunięcia których nie da się budować żadnej sensownej sylwetki człowieka i obywatela, zatem i zdrowego społeczeństwa polskiego. Reformy, które nie zostaną oparte na dogłębnym rozpoznaniu istniejącego stanu, będą ułomne i nie będą w stanie przynieść poprawy, w tej bardzo zaniedbanej, a bodaj najważniejszej dziedzinie działalności społecznej.

Pomimo wzajemnych powiązań wszystkich szczebli szkolnictwa, w niniejszej wypowiedzi pragnę zwrócić uwagę tylko na niektóre kwestie związane z jedną formą kształcenia, która od 1991 r. zapoczątkowała w Polsce nieporozumienie zwane czasem „ryn-

kiem” prywatnego szkolnictwa wyższego. Myślę, że zgodzą się ze mną nauczyciele akademicy rozumiejący rolę kształcenia i wychowania, że to, co z niego wyszło, w praktyce *grosso modo* jest zgubne dla przyszłości naszego narodu. Interesujące, że rządząca partia liberalna nie tylko nie mówi o konieczności przedsięwzięcia jakichkolwiek środków jego naprawy, ale proponuje sposoby, które mogą pogłębić już istniejącą jego degradację. Chodzi tu zwłaszcza o proponowaną likwidację habilitacji (która ewidentnie miała by przezwyciężyć permanentne kłopoty wyższych szkół prywatnych związane z brakiem kwalifikowanej kadry profesorów i doktorów habilitowanych). A przecież widoczne jest, że grzechem pierworodnym wspomnianego szkolnictwa prywatnego jest traktowanie przez większość z nich szlachetnej misji kształcenia umysłów młodzieży – największego skarbu narodowego – jako zwykłego przedsięwzięcia biznesowego. Z czego wynika, że jego racją bytu jest przynoszenie dochodów przede wszystkim założycielom wyższych szkół prywatnych, ich rodzinom i bliskim. A pieniądze, jak wiadomo, korumpują.

Podobnie jak – niezbędna do wszelkiego życia – woda [4], edukacja od przedszkola po doktorat nie powinna być „produktem handlowym”, obliczonym na prywatne dochody wszystkich, którzy znajdą tytuł i sposób ich inkasowania. Ponieważ – jak bez dobrej wody niemożliwe jest zdrowe życie na Ziemi, tak – bez należytej edukacji szwankuje życie społeczne ludzi. Stanowi ona bowiem podstawowe lepszycze ich gromadnej egzystencji – pozwalające możliwie najpełniej realizować potrzeby fizycznego i duchowego bytowania na Ziemi. Ta dawno rozpoznana prawda nabiera szczególnego znaczenia w dobie potrojonej (w minionym półwieczu) ludności świata z odpowiednim mnożnikiem zapotrzebowania na zdrową dla każdego osobnika wodę (do spożycia, higieny osobistej i domu oraz otoczenia, a także używanych sprzętów etc.) i powietrze (nie tylko do oddychania flory i fauny, ale i spalania, np. przez zakłady produkcyjne oraz sprzęt transportujący osoby i towary), żywność, dach nad głową, nośniki energii (gaz, ropę naftową itd.) do napędzania ich rozlicznych domowych i ogólnospołecznych urządzeń i wiele innych dóbr niezbędnych do cywilizowanego życia. Wiadomo, że to zaspokajanie rozlicznych potrzeb ludzkich dotychczasowymi sposobami doprowadziło do zagrażającej zdrowiu i życiu – a nawet przeżyciu ludzi na Ziemi – degradacji środowiska naturalnego, tak ostro przejawiającego się w globalnej zmianie klimatu.

Dla sprostania tym wyzwaniom wypracowano w systemie Organizacji Narodów Zjednoczonych nowoczesną metodę zrównoważonego rozwoju (*sustainable development*), do wdrażania której dotychczas, mimo upływu prawie 17 lat od „Szczytu Ziemi” w Rio de Janeiro (1992), nie jest właściwie przygotowane polskie społeczeństwo, a niedostatki szkolnictwa mają w tym swój decydujący udział. To właśnie głównie jego zacofaniu zawdzięczamy brak pożądaných postępów we właściwym wdrażaniu epokowych zaleceń tego szczytu. Metodę tę przyswojono w polskim szkolnictwie bardzo powierzchownie i gołym okiem widać, że dyletanckie przyswojenie ustalonych na wspomnianym szczycie

metod życia i zarządzania (na wszystkich szczeblach) bodaj najlepiej obrazuje zaco-fanie wszystkich typów naszych szkół. A przecież chodzi o konieczność pogłębionego rozumienia rozlicznych zastosowań zrównoważonego bytowania w życiu społecznym (i każdej jednostki). Wielką w tym rolę przypada zwłaszcza szkolnictwu wyższemu, które powinno przygotować kadry do kształcenia nauczycieli i wszystkich odpowiedzialnych za podejmowanie codziennych decyzji rządowych i samorządowych oraz przez każdego człowieka.

Wprawdzie oficjalnie oświata i wychowanie na poziomie podstawowym, średnim i wyższym słusznie od dawna uważane były – a dziś nawet mocniej – za główny czynnik postępu i dobrobytu, ale już w latach 60. ubiegłego wieku przy okazji egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie zauważano obniżający się poziom maturzystów. Wiele wskazuje na to, że nie udało się go dotychczas poprawić. A nawet niektóre, wówczas sporadycznie występujące schorzenia (np. ściągi na klasówkach i egzaminach), zostały upowszechnione i są traktowane również przez nauczycieli jako dopuszczalne normy postępowania [5]. Z pewnością miało to związek także ze wspomnianym odchodzeniem z zawodu właściwie uformowanej kadry przedwojennych pedagogów i niemożnością odtworzenia i pogłębienia jej profesjonalizmu oraz systemu wartości do dzisiaj. Od zakończenia II wojny światowej (z opuszczaniem zawodu przez rozumiejących rolę oświaty i wychowania pedagogów i późniejszych (w tym politycznych) manipulacji z ich odtworzeniem, a także – ze względu na upowszechnienie szkolnictwa w PRL (tak, tak, niezależnie od wszelkiego zła tamtych czasów, to wówczas właśnie nastąpiła alfabetyzacja kraju) – z niezbędnym ich pomnażaniem) wiele przyczyn powodowało lekceważenie szkolnictwa w praktyce, a jednym z wizualnych tego dowodów były i do dziś pozostają – niskie uposażenia nauczycieli.

Przez dziesięciolecia zaniedbywano tę najważniejszą dla życia społecznego dziedzinę. Najwyraźniej widać to właśnie dziś – jak powiedzieliśmy – w zaniżonych płacach nauczycieli i ich chętnych ucieczkach z zawodu (przez wieki uważanego za dożywotnią społecznikowską misję!).

A przecież mądrze uprawiane szkolnictwo mogłoby decydująco pozytywnie wpływać na jakość naszego życia (trzeba bowiem sobie jasno uświadomić, że jest ono – oprócz rodziny – najważniejsze w przygotowaniu ludzi do życia społecznego). Właściwie realizowane mogłoby zapobiegać (a przynajmniej znacząco minimalizować) wielu patologiom społecznym „u źródła”. Mogłoby prostować niedostatki wychowawcze wielu rodzin (zwłaszcza biednych i patologicznych). To przecież w procesie pierwszych lat oświaty i wychowania w szkołach powinny być wpajane zasady poszanowania drugiej osoby i jej praw (człowieka), a zwłaszcza prawa do życia i rozwoju niezależnie od płci, rasy, języka, w tolerancyjnym społeczeństwie, w którym regułą jest życzliwość wzajemna, a nie zawiść bądź nawet nienawiść.

Mając dobre szkolnictwo, nie żylibyśmy w społeczeństwie, w którym ekscesy jednych pozbawiają tak często zdrowia i życia innych jego członków. Mogłoby ono eliminować – a przynajmniej w dużym stopniu zmniejszać, m.in. narastające obecnie przeciążenie policji i innych organów ścigania. Zanedbując szkolnictwo, osiągnęliśmy w efekcie – średnio biorąc – niski poziom rozwoju młodzieży (oraz ich woli i umiejętności rozwiązywania żywotnych – osobistych i społecznych – problemów), a także niebezpieczne zgęszczanie – na teraz i przyszłość – różnych patologii oraz nieustanne zasilanie nimi narastających patologii dorosłych. U początków rozwoju młodej istoty ludzkiej, niejako „u źródła”, można stosunkowo łatwo najwcześniej, najtaniej i najskuteczniej wyrabiać cechy niezbędne do życia i współżycia w demokratycznym społeczeństwie, zarówno lokalnie, jak i w obszarze krajowym oraz międzynarodowym.

W 18-letnim okresie od przełomu 1989 r. nie dopracowano się w Polsce, a nawet dotychczas nie podjęto próby stworzenia merytorycznego systemu edukacji i wychowania, który rozumnie wpajałby młodzieży reguły postępowania wynikające ze wspomnianej, przyjętej w sferze międzynarodowej (przez wszystkie państwa – członków ONZ) zasady zrównoważonego rozwoju – a obecnie nakazanej w Konstytucji RP i w wielu ustawach Rzeczypospolitej. Zasady, według której wszelkie nasze działania indywidualne i zbiorowe powinny być równoważone – a więc i mierzone krótko- i długofalowym dobrem zdrowego społeczeństwa w zdrowym środowisku. Z wielu zachowań obywateli i rządzących w Polsce wynika, że dotychczas jako społeczeństwo nie pojęliśmy nawet istoty i doniosłości tej dopracowanej w sferze wspólnotowej i światowej zasady. A przecież chodzi tu o rzecz niebagatelną – o godne życie jednostek w dobrze i zdrowo funkcjonującym społeczeństwie, w tym przede wszystkim o ochronę życia ludzkiego przed chorobami powodowanymi bezmyślnym zanieczyszczeniem wody i powietrza oraz wytwarzanej w tych warunkach żywności, a także codziennie przejawiających się niedostatków wiedzy w zarządzaniu tymi dobrami. Nigdy też za wiele pamiętania, że w dalszej perspektywie te nagminne przejawy godzą nawet w istnienie wszelkiego obecnego życia na Ziemi.

Ze szczególnych względów, wynikających z historii najnowszej, kraj nasz jest poważnie opóźniony w procesie docierania zasady zrównoważonego rozwoju do umysłów rządzących oraz całego społeczeństwa. Gdyby wpajano ją w szkołach (nie tylko teoretycznie), zapewne kibice piłki nożnej inaczej zachowywaliby się na meczach swych ulubionych drużyn i nie wywoływaliby burd i zamieszania, powodujących ubytki zdrowia i mienia ich bliźnich oraz rujnujące, zdobyte ciężką pracą, dobra ogólnospołeczne. Gdyby właściwie funkcjonowała szkoła i jej organizacje młodzieżowe, łatwiej byłoby powstrzymać narastanie wśród młodzieży nałogów palenia tytoniu, zatruwania się alkoholem i różnego rodzaju narkotykami. Młodzież – jako użytkownik i przyszły spadkobierca otaczającego środowiska i wszelkich dóbr natury, na co dzień (a nie tylko okazjonalnie, jak w przypadku ochrony Doliny Rospudy, mogłaby już na wczesnych etapach swego roz-

woju wdrażać się w ochronę środowiska i racjonalne nim zarządzanie, wspomagając w tych działaniach dorosłych, a nawet dając im przykład poszanowania dóbr przyrody (czego nie mogli się oni nauczyć – ze zrozumiałych względów – w swej młodości).

Nie ulega wątpliwości, że cały ten system należy mądrze reformować [6]. Przy tym pamiętać trzeba, że zła – dokonana tylko z jednego punktu widzenia, doraźna reforma – może w skutkach dodać nowe schorzenia do już istniejących (lub je pogłębić). Takie postępowanie może w przyszłości dodatkowo utrudnić naprawę tego, co od dawna powinno normalnie działać. Taka naprawa, miast przestawić system edukacji na właściwe tory, może przyspieszyć jego degrengoladę i wyprowadzenie na kolejne manowce. Z przykładami tego rodzaju dokonanych „reform” mamy wszak ciągle do czynienia (by wymienić tylko stale obecną w mediach – emerytalną i służby zdrowia). Jak obrazują to środki informacji masowej, reformy te nie rozwiązały nabrzmiałych problemów i obecnie wydaje się trudniej niż przedtem doprowadzić do ładu to, co wadliwie zostało już „zreformowane”. Oczywiście jest, że znacznie łatwiej było to zrobić dawniej niż teraz.

Punktem wyjścia do przedsięwzięcia jakiejkolwiek reformy powinno być rzetelne rozpoznanie wad poprawianej dziedziny życia społecznego. Skrajne, lecz powszechne, ich skutki, wołające o pilne podjęcie środków zaradczych w całym polskim szkolnictwie od podstawowego (a może i przedszkolnego), poprzez średnie, po wyższe (łącznie z doktoraturą), alarmująco ujawniają środki informacji publicznej. Ich liczne przykłady przejawiają się m.in. w tolerowaniu oszustw związanych z maturalnymi „prezentacjami z języka polskiego”, podobnie w prywatnym szkolnictwie wyższym z pracami dyplomowymi (zwłaszcza w związku z jego masowością na studiach zaocznych), a także w nagminnym lekceważeniu jakiegokolwiek studiowania przez „studentów” w okresach między zjazdami (jaskrawo widocznego zwłaszcza w przypadku dłuższych przerw związanych z oficjalnymi świętami).

Narosłe wady oświaty i szkolnictwa, a zwłaszcza wychowania młodzieży, zostały już niejednokrotnie rozpoznane i upublicznione przez świadomych zagrożeń obywateli oraz specjalistyczne ośrodki badawcze. Trzeba głębiej do nich sięgnąć w celu podjęcia stosownych działań naprawczych. Wynika z nich, że państwowe i samorządowe instytucje oraz nauczyciele muszą powrócić do powierzonej im misji i zadbać nie tylko o formalne wykonanie programów nauczania, ale również staranność, by materiał programowy był ze zrozumieniem przyswojony przez wszystkich uczniów. Bowiem bez podniesienia poziomu kształcenia na wszystkich etapach – łącznie z poprzedzającymi maturę – nie uda się nam uzyskać wysokiej jakości kandydatów do kształcenia wyższego.

## **2. Uśredniona jakość kandydatów do wyższych studiów prywatnych w Polsce**

### **2.1. Wprowadzenie**

W połowie lat 60. ubiegłego wieku pewien profesor Uniwersytetu Harvarda z Cambridge, zapytany, czym tłumaczyć szczególnie wysoką jakość absolwentów tej prywatnej

uczelni (założonej w pierwszej połowie XVII wieku), odpowiedział: „To proste, staramy się mieć wyselekcjonowaną, najlepszą z najlepszych kadre naukową i podobnie przyjmujemy na studia kandydatów, najlepszych z najlepszych”. Do tego dodajmy, że profesoriowie tego uniwersytetu pracowali wówczas w jej gmachach (na jednym etacie!) zwyczajowo 7-8 godzin dziennie (a w okresie przygotowywania publikacji swych badań – dużo dłużej). Zaś osobista praca studentów (poza wykładami i ćwiczeniami – *tutorials*, od godziny 8 rano zazwyczaj do godzin popołudniowych (14-16) – często – przedłużała się do późnych godzin nocnych (przynajmniej w Harvardzkiej Szkole Prawa). Nic też dziwnego, że wspomniana zwięzła formuła na dobrą jakość absolwentów oddawała istotę wysokich efektów tamtejszego studiowania. Pamiętając zatem, że prywatny Uniwersytet Harvarda z różnych względów nie jest porównywalny do żadnej szkoły prywatnej w Polsce, lecz raczej do wymarzonego przez właściwy resort przyszłych „okrętów flagowych” nauki polskiej oraz że nie wolno mechanistycznie przenosić doświadczeń inaczej uformowanego społeczeństwa do innego (także w odniesieniu do formy instytucji edukacyjnych), przyjrzyjmy się, jak przedstawiają się te niekwestionowane czynniki jakości kształcenia wyższego w polskim szkolnictwie prywatnym. Przyjrzyjmy się najpierw „z lotu ptaka” kandydatom do wyższych studiów prywatnych.

Warto tu przypomnieć wzmiankowane przekonanie komisji rekrutacyjnych na studia wyższe o obniżającym się poziomie kandydatów w Polsce w latach 60 ub. wieku. Jeśli ówczesne spostrzeżenie było prawdziwe, to należy wnioskować, że musiało także nastąpić obniżenie jakości całego szkolnictwa poprzedzającego wyższe. Na proces ten trzeba więc spojrzeć już z prawie półwiekowej perspektywy. Zatem – poza zawsze zdarzającymi się wyjątkami kwalifikującymi się do wyróżniających nagród, zagranicznych i krajowych stypendiów naukowych – przeciętna absolwentów szkolnictwa średniego do dzisiaj nie miała warunków znaczącej poprawy. Rozumowanie to znajduje zresztą potwierdzenie w przekazywanych przez środki informacji publicznej wiadomościach (m.in. o miejscu naszych maturzystów w porównaniu do ich odpowiedników w innych państwach OECD). Pewne pojęcie o poziomie kształcenia w polskich szkołach dają także przenikające do wiadomości publicznej informacje o wynikach badań społecznych, sprawdzianów ogólnopolskich i egzaminów maturalnych [7].

W artykule, którego intencją jest zwrócenie uwagi na jakość produktu (by użyć tak obrzydliwie dziś nadużywanego wyrażenia, szczególnie w bankowości i biurach turystyki) szkolnictwa prywatnego, autor czerpie swą wiedzę z doświadczeń prawie sześćdziesięcioletniej ciągłej praktyki nauczyciela akademickiego w kraju i za granicą (w tym około pół wieku w szkolnictwie państwowym, a od 1997 r. w trzech wyższych szkołach prywatnych i z licznych rozmów z kolegami i koleżankami wykładającymi w takich szkołach oraz z przedostających się do mediów relacji ze szkolnictwa średniego).

## 2.2. O odsianych kandydatach dla WSP

Przed wszystkim powinniśmy sobie jasno uświadomić, kto z reguły nie trafia do prywatnego szkolnictwa wyższego. Z kandydowania do indeksu w prywatnych szkołach wyższych w Polsce rezygnuje nieliczna grupa pilnej młodzieży, która podejmuje studia zagraniczne (wyborom takich studiów sprzyjają obecnie liczne programy stypendialne UNESCO i zwłaszcza Wspólnoty Europejskiej oraz wielu indywidualnych państw, a także wzrastająca zamożność tzw. wyższej klasy średniej, pomimo tego jest to nieliczna grupa młodzieży polskiej). Corocznie jednak przeważająca część najlepszych (w założeniu) maturzystów, przyjmowana jest na bezpłatne państwowe studia dzienne. Pewna część – spośród zgłaszających się licznych, a nieprzyjętych tam na studia dzienne słabszych kandydatów – jest przyjmowana (niejako preferencyjnie) na prowadzone przez te uczelnie studia niestacjonarne (w sumie z dziennymi obejmują one ok. 2/3 studentów w Polsce) [8].

Dopiero pozostali maturzyści, którzy nie zostali przyjęci na wspomniane formy kształcenia za granicą oraz przez uczelnie państwowe, stanowią klientelę do pozyskania przez wyższe szkoły prywatne. Wynika stąd, najogólniej mówiąc, że szkoły prywatne w zasadzie mogą pozyskiwać kandydatów do kształcenia tylko spośród nieprzyjętych przez zagraniczne i polskie uczelnie państwowe. Trzeba więc jasno powiedzieć, że wyższym uczelniom prywatnym pozostaje jakościowo gorszy (z zastrzeżeniem wyjątków) odsiew kandydatów. Jednocześnie warto zauważyć, że zapewne są wśród nich kandydaci, którzy mogliby lepiej rokować w ukierunkowanych zawodowo szkołach pomaturalnych lub wyższych uczelniach zawodowych o kierunkach praktycznych. Kierunki te jednak są niezwykle rzadko przedmiotem zainteresowania szkolnictwa prywatnego.

Z traktowania szkolnictwa wyższego jako prywatnej przedsiębiorczości zarobkowej wynika wiele złych skutków. Mianowicie istotnym czynnikiem rozwoju gospodarczego i coraz lepszego zaspokajania potrzeb konsumenta jest konkurencja między wieloma podmiotami w określonej dziedzinie działalności. Ponieważ jednak czesne płacone uczelniom prywatnym jest podstawowym źródłem ich dochodów, „na rynku” szkolnictwa prywatnego toczy się walka konkurencyjna (często z użyciem chwytów reklamowych nachalnie stosowanych w handlu drogowym i farmaceutycznym) nie o jakość kandydatów na studia, lecz o jak największą ich liczbę. Z czego wynika, że na studia z reguły przyjmowani są wszyscy (którzy mogą za nie płacić), niezależnie od jakości świadectw maturalnych. Ci najlepsi – jak pamiętamy – ubiegają się najpierw o indeksy na zagranicznych i bezpłatnych studiach dziennych oraz niestacjonarnych polskich uczelniach państwowych). Przypomnijmy, że to, w zasadzie, o jak największą liczbę pozostałych „na rynku” słabszych maturzystów zabiegają wyższe szkoły prywatne. Przy czym tylko nieliczne wyższe szkoły prywatne dokonują wstępnej selekcji kandydatów lub traktują pierwszy rok studiów jako selekcyjny [9]. Łatwo przyjęci – bez żadnej selekcji



– studenci tych tzw. wyższych szkół niepublicznych (ich studia często opłacają rodzice) nie są w stanie (gdyż nie zdołali się tego nauczyć w szkole średniej) należycie skorzystać z nauczania w systemie akademickim, gdzie bieżące kontrole postępów nauki w szkołach średnich zastąpione są semestralnymi i/lub rocznymi.

Z kolei dbałość o zwiększanie – lub przynajmniej utrzymanie rekrutowanej – liczby studentów pozostaje stałą troską, a zarazem dyrektywą władz uczelnianych już do końca wszystkich lat studiów. Wszak, im więcej studentów, tym lepszy efekt finansowy szkoły! Na każdego bowiem odrzuconego studenta (nieczyniącego postępów) w jednej uczelni czeka (by nie powiedzieć „czyha”) konkurencja kilkuset innych szkół prywatnych z ich rozlicznymi kierunkami. Sytuacja ta nie sprzyja więc mobilizowaniu się studentów do własnego rozwoju intelektualnego, lecz – w zdecydowanej większości przypadków – do poszukiwania sposobów oszukania nauczyciela dla uzyskania pozytywnych rezultatów egzaminów i zaliczeń poszczególnych przedmiotów, bądź „załatwienia” ich w inny sposób. W tym względzie przeważająca część studentów szkół prywatnych przejawia wiele pomysłowości (byłem świadkiem pozytywnego oceniania jednego z jej objawów przez „doktorów” różnych nauk na publicznym posiedzeniu jednej z rad wydziałów czy nawet senatu). Z niezrozumiałych dla mnie powodów sprzyjają temu procederowi dziekani (nawet – o dziwo! – z tytułem profesora).

Przed wszystkim, ujawnia się wyraźne, mocne parcie najsłabszych studentów – ewidentnie pochodzących ze słabych liceów – (których zapewne ledwo „przepchnięto” przez egzamin maturalny) na maksymalne obniżanie wymagań egzaminacyjnych. W tym na preferowanie pisemnej ich formy (później odkryję, dlaczego?). Pojawiają się naciski na nauczyciela do wyprzedzającego podania kilku do kilkunastu pytań z sążnistych podstawowych dla danego kierunku przedmiotów (na które odpowiedzi i tak udzielą – jak później się przekonamy – „podpowiadacze”, będący pośrednikami – niczym tłumacze symultaniczni na konferencjach międzynarodowych). – Po co studiować, skoro różnymi sztuczkami można zapewnić sobie pozytywną ocenę? Studenci bardzo szybko uczą się tych sztuczek, domyślając się, czym naprawdę kierownictwa uczelni są zainteresowane. A „czym skorupka za młodu nasiąknie, tym – wzmocniona dyplomem uczelni wyższej – przy udziale ‘autorytetów’ akademickich będzie cuchnąć całe życie”.

W istniejącej sytuacji nauczyciel akademicki rzetelnie oceniający postępy studiowania jest w rozmaity sposób zachęcany do sprzyjania tej „kierowniczej” dyrektywie. Dochodzi także do horrendalnych, przeczących elementarnym zasadom kształcenia i życia społecznego, ekscesów, gdy np. mimo podpowiadaczy egzamin wykaże niedostateczne postępy, znane są przypadki (zamiast poprzez egzamin komisyjny) poprawiania ocen przez dziekanów lub kierowanie przez nich „recydywistów” z ocenami niedostatecznymi do poprawek u zaufanego innego (zazwyczaj młodszego i niższego rangą) nauczyciela akademickiego. Znany jest efekt takiej „poprawki” z oceny niedostatecznej na

dobrą i to zaledwie w kilka dni od jej wystawienia przez profesora. Skargi na tego rodzaju postępowanie, zamiast na drogę dyscyplinarną, kierowane są do tegoż dziekana, który wcześniej zlecił taki właśnie „egzamin poprawkowy”. Szczytem podobnych metod są też reprimendy lub zwolnienia z pracy nauczycieli akademickich stawiających zbyt dużo ocen niedostatecznych. Zdarzają się także (choć rzadkie) wypowiedzenia umowy o pracę przez nauczycieli akademickich, niegodzących się z takimi metodami kształcenia i wychowania. Można sobie wyobrazić wpływ takich „pedagogicznych” działań administracji akademickiej uczelni prywatnych na pozostałych studentów, a następnie na stosowanie podobnych metod w życiu społecznym. Wiele z tego już widać w docierających do opinii publicznej informacjach o licznych – mówiąc eufemistycznie – nieprawidłowościach życia społecznego (m.in. aferach korupcyjnych i innych).

Wszelkie studia powinny, poprzez oddziaływanie nauczyciela akademickiego, rozwijać indywidualny potencjał i predyspozycje studiującego. W praktyce akademickiej od dawna oddziaływanie to odbywa się poprzez grupę studencką. I tu powstaje pytanie, jak duże powinny być te grupy? Trudno bowiem wyobrazić sobie skuteczne kształcenie – nawet przez najbardziej doświadczonego nauczyciela – gdy grupa wykładowa liczy 350 lub ponad 500 osób (a takie są często tworzone w szkołach prywatnych). Przy tym dodać należy, że w szkołach tych z reguły nie prowadzi się ćwiczeń czy proseminariów (poza lektoratami językowymi i seminariami licencjackimi/magisterskimi). W jaki sposób więc nauczyciel ma sprawdzać wdrażanie określonego kwantum wiedzy i umiejętności jej stosowania przez przyszłego absolwenta? Dobrze, jeżeli uda mu się skupić uwagę słuchaczy na treści wykładu. Jest to bardzo ważne, gdyż zdecydowana większość studentów szkół prywatnych (na kierunku administracja do 99% na drugim roku studiów) zalecanych lektur nie czyta (nawet jednego z listy podręczników, nie mówiąc o najnowszych artykułach czy choćby śledzeniu bieżących informacji związanych z wykładanym przedmiotem w środkach informacji publicznej). Pilniejsi studenci polegają więc na własnych notatkach; większość zaś – nie bacząc na sens pytań, „strzela” na pytania egzaminacyjne z wcześniej przygotowanych (z reguły starych, do innych pytań przygotowanych ściąg), bądź (w trakcie egzaminu pisemnego) liczy na „podpowiadacza” wprost do ucha, albo po prostu *zagawarywajet zuby* pisaniem lub mówieniem głupot od rzeczy – niezwiązanych z pytaniem.

Rzecz jasna trudno sobie wyobrazić zindywidualizowany ustny egzamin, gdy grupa studentów w określonej sesji przekracza 150-200 osób. Praktykuje się więc coraz częściej egzaminy pisemne. Już od dawna były one łatwym polem do oszustw, zwłaszcza te tzw. testowe. Już w końcu ubiegłego wieku zdarzyło się, że zestawy pytań (powielone tuż przed początkową godziną egzaminu) „przeciekły” do egzaminowanych studentów, najprawdopodobniej przez osobę obsługującą kopiarke. Obecnie, przy rozpowszechnieniu „szpiegowskich” środków komunikacji, na przygotowane (nawet w szczelnych

warunkach) i rozdane bezpośrednio przed egzaminem testy wynajęci „dyżurni pomocnicy” podpowiadają wprost do uszu studentów nawet ze znacznego oddalenia od sali egzaminacyjnej. Przy czym – warto zauważyć – że podpowiedzi te są często nieadekwatne, gdyż – jak wspomniałem – bazują na najelementarniejszych, wcześniej przygotowanych ściągawkach. Rozszyfrowanie takiego oszustwa jest stosunkowo łatwe, ale co może uczynić pojedynczy odpowiedzialny egzaminator, zwłaszcza gdy kierownictwo uczelni jest niezadowolone z dużej ilości ocen niedostatecznych i nie chce o takich „drobnych” sprawach (mimo że to – groźne w skutkach zjawisko) wiedzieć.

W istniejących warunkach kontakt nauczyciela akademickiego z indywidualnym studentem następuje zazwyczaj dopiero w trakcie dwusemestralnego seminarium dyplomowego (kiedyś było minimum 3 semestry). Tutaj zresztą też, indywidualne prowadzenie studenta – przy „zjazdach” średnio co 2-3 tygodnie – jest możliwe tylko wówczas, gdy liczba uczestników seminarium nie przekracza 15 osób. Z moich doświadczeń wynika, że obecność studentów na seminariach pozostawia wiele do życzenia. To samo dotyczy aktywności intelektualnej studentów (ochotniczego zabierania głosu lub odpowiadania na kwestie związane z wybranym tematem pracy dyplomowej, podniesione przez kierownika seminarium). Zdaje się to wynikać z nierozbudzonych jakichkolwiek zainteresowań w szkole średniej. Pomimo tak rzadko ustanowionych spotkań około połowa studentów pokazuje się na nich „w kratkę” (po co zaprzętać sobie głowę, gdy wiadomo, że „tylko frajerzy” nie wiedzą, lub nie chcą wiedzieć, że gotową pracę dyplomową się kupuje poprzez łańcuch „dobrej woli i solidarności” albo z ogłoszenia w środkach informacji publicznej). Jak więc pokierować pracą licencjacką/magisterską, gdy student(ka) nie przychodzi regularnie na spotkania seminaryjne, a władze szkoły nie chcą podejmować działań dla poprawy dyscypliny studiów? Nawet do tych, co przychodzą w miarę regularnie, nie docierają parokrotnie powtarzane słowa nauczyciela (można to spostrzec np. w błędnie przygotowanej na następne posiedzenie kilkupunktowej bibliografii do roboczego tematu pracy dyplomowej, te same błędy, mimo późniejszych uwag na piśmie, przez większość seminarzystów są powtarzane również w końcowej wersji pracy dyplomowej – mózg staje, a ręce opadają!). Często odnosi się wrażenie „mówienia do obrazu”, co więcej nie tylko mówienia, bo nawet napisane uwagi – jak wspomniano – nie są uwzględniane w wersji następnej).

Robocze tematy staram się ustalić możliwie szybko na drugim lub trzecim spotkaniu seminaryjnym (jeżeli student nie ma własnego pomysłu, na studiach zaocznych najchętniej doradzam temat z zakresu jej/jego pracy zawodowej lub kogoś z bliskich). Z referowania planowanych dla poszczególnych etapów zadań seminaryjnych wygląda, że studenci nie nauczyli się w szkole średniej pisać z sensem na określony temat ani nawet streszczać poprawnie wybrane pozycje literatury lub jakiś akt prawny. A co wtedy, gdy na roku jest kilkanaście setek studentów, a liczba etatowych nauczycieli nie przekracza

tuzina? Nic też dziwnego, że w takich sytuacjach zrozumiałe staje się parcie samych nauczycieli (!) na rezygnację z wymogu pracy licencjackiej [10].

Wiele wskazuje na to, że wysoka liczba ocen niedostatecznych na poszczególnych etapach studiów bierze się z braku należytego przygotowania większości rekrutowanych (przez uczelnie prywatne) kandydatów na studia wyższe. Skoro władze niepodległej RP zdecydowały (najprawdopodobniej nieświadomie, bez większego uwzględnienia istniejących w Polsce realiów), że studia wyższe mają być udostępnione również tym z reguły nieprzygotowanym do nich maturzystom, powinny one i powoływane przez nie szkoły wyższe dołożyć szczególnych starań zindywidualizowanego traktowania każdego ze studentów i poświęcać każdemu znacznie więcej czasu – podobnie do czasu poświęcanego młodzieży niepełnosprawnej w szkołach specjalnych – (a przynajmniej nie mniej) niż ma to miejsce w odniesieniu do stacjonarnych studentów uczelni państwowych. Niestety – jak widzieliśmy – nie jest to celem uczelni prywatnych [11].

Z wprowadzeniem ujednoczonych egzaminów maturalnych – jeśli spece typu jednego z byłych ministrów edukacji tego nie popsują – można ostrożnie wnosić, że ogólny poziom tych, którzy będą uprawnieni do studiów wyższych, trochę się poprawi. Jednak czas najwyższy zastanowić się, czy nie nadeszła pora przyjrzeć się krytycznie obecnej zabawie w uprawianie prywatnego szkolnictwa wyższego (często przez przeciążoną – znaczącą – część jego „pedagogów”, pracujących jednocześnie w kilku szkołach – słyszałem o rekordziście, który dojeżdżał aż do 6 szkół). Czy przypadkiem nie jest to kierowanie młodej energii społecznej na fałszywe tory? Przecież każdy młody człowiek – częśćka kapitału narodowego – ma jakieś uzdolnienia i predyspozycje, które z pożytkiem dla siebie i społeczeństwa mógłby wykorzystać, ucząc się potrzebnego zawodu, zamiast udawać, że studiuje, co ani jemu, ani społeczeństwu korzyści nie przyniesie, a wręcz przeciwnie! – Naprawienie zaś szkód wynikających z takiej „edukacji” dla życia społecznego może trwać dziesięciolecia!

### 3. O zasobach kadrowych WSP

Skoro kadra naukowo-dydaktyczna w Uniwersytecie Harvarda – obok kandydatów na studia – odgrywa tak zasadniczą rolę w tworzeniu wysokiej jakości absolwentów tej uczelni, należałoby najpierw zwrócić uwagę na założycieli i osoby kierujące prywatnymi szkołami wyższymi w Polsce. Wszak to od nich zależy angażowanie nauczycieli akademickich oraz powierzanie ogólnouczelnianych stanowisk kierowniczych i wydziałowych (kierowników katedr i innych placówek uczelnianych).

Rzecz jasna trudno piszącemu – niezajmującemu się zawodowo badaniami (w tym statystycznymi) nad WSP – przedstawić tu szczegółową analizę kadry założycielskiej tych szkół. Niewątpliwie warto byłoby przeprowadzić takie badania *sine ira et studio* przez specjalistyczną placówkę badawczą. Autor niniejszej wypowiedzi oczywiście ma

swoje spostrzeżenia, ale bez dokładniejszych badań nie wszystkie one nadają się do publicznych uogólnień.

W nawiązaniu do kryterium **jakości** wszelkiego szkolnictwa, spójrzmy teraz na **zasoby kadr nauczycielskich dla wyższego szkolnictwa prywatnego**. Gdy w początkach lat 90 ub. wieku decydowano się na uzupełnienie państwowego szkolnictwa wyższego – prywatnym, istniała w Polsce, jeśli nawet nie tak wyselekcjonowana jak na Uniwersytecie Harvarda, niewykorzystana w pełni znaczna nadwyżka kwalifikowanych kadr naukowych: profesorów, doktorów i doktorów habilitowanych (zwłaszcza w instytutach PAN, chociaż z natury rzeczy zdecydowana mniejszość tej merytorycznie wysoko kwalifikowanej kadry miała przygotowanie i doświadczenie pedagogiczno-wychowawcze). Z czasem i otwieraniem coraz to nowych szkół wyższych (zarówno państwowych, jak i prywatnych) nadwyżka ta – przy zahamowaniu rozwoju młodej kadry – szybko topniała.

Przyczyniały się do tego także wykruszenia (z powodu chorób, zwłaszcza starszej profesury, i jej odchodzenia na wieki) oraz otwarcie atrakcyjnych ofert w zagranicznych placówkach naukowych. Niebagatelną przyczyną topnienia tej nadwyżki kadr było także otwarcie szerokich możliwości zatrudnienia w agendach rządowych i samorządowych oraz w powstających jak grzyby po ciepłym deszczu zagranicznych i krajowych przedsiębiorstwach prywatnych. Już w drugiej połowie lat 90. ubiegłego stulecia zagospodarowanie wspomnianych nadwyżek kadrowych było całkowite. Tymczasem radosna twórczość ciągle zmieniających się „właściwych” ministrów w tworzeniu coraz to nowych szkół wyższych i kierunków nauczania rosła odwrotnie proporcjonalnie do powolności przyrostu młodych kadr akademickich (nawet po uwzględnieniu przyspieszonych ich przyrostów w wielu szkołach „resortowych” kończących żywot lub znacząco ograniczających swą działalność).

Kształcenie nowych kadr w początkowym okresie niepodległości było przyhamowane dużym popytem w administracji rządowej i samorządowej na zdolnych absolwentów ze znajomością języka angielskiego, a zwłaszcza w dobrze płatnych przedsiębiorstwach krajowych i zagranicznych. Najlepsi studenci byli rozbierani kilka lat wcześniej przed uzyskaniem dyplomu. Przez dłuższy czas brakowało zatem chętnych do dalszych wyrzeczeń (zwłaszcza materialnych) i podejmowania studiów doktoranckich (na dodatek wkrótce wiele z nich okazało się być także płatnymi). W drugiej połowie lat 90. ubiegłego stulecia nastąpiło większe zainteresowanie studiami doktoranckimi, wspieranymi zresztą przez resorty rządowe. Paradoksalnie przyczyną tego pędu do doktoratów – jak się później okazało – w większym stopniu były możliwości zarobkowania (lub tylko „dorabiania” na drugim etapie) w szkołach prywatnych (często nawet wysokich funkcjonariuszy państwowych i samorządowych) niż rzeczywiste predyspozycje i zapał do pracy naukowo-dydaktycznej w instytucjach państwowych i takichże uczelniach (mimo że to one pozostają głównymi „demiurgami” doktorów i doktorów habilitowanych).

Warto jednak zastanowić się, czy nie należałoby wypracować jakichś obiektywnych kryteriów, według których można by ustalić potrzebne kwalifikacje i umiejętności potrzebne kandydatom zakładającym i mającym prowadzić wyższe szkoły prywatne (kryjące się od nowej ustawy pod wprowadzającą w błąd nazwą – „niepublicznych”)? Chodziłoby tu o takie wymogi, jak np.: żądane od indywidualnego piekarza, gdy zwraca się o pozwolenie na założenie piekarni. Moje doświadczenia z 3 takich uczelni w 2/3 potwierdzają, że ich założyciele nie spełniają elementarnych kryteriów do prowadzenia instytucji dydaktyczno-wychowawczych.

To samo można powiedzieć o przygotowaniu do kierowania wyższym szkolnictwem (w tym zwłaszcza prywatnym) wielu wysokich urzędników ministerialnych. W tym kontekście nasuwają się bowiem także podstawowe pytania. Na przykład, czy jest normalne, aby ktoś, kto dwukrotnie „wyprowadził w pole” dużą liczbę studentów i część kadry nauczycielskiej w dwu założonych przez siebie szkołach, dostał kolejne pozwolenie ministra na otwarcie trzeciej? O takim przypadku donosiły środki informacji publicznej w stosunku do założyciela/rektora Szkoły Dziennikarstwa im. Melchiora Wańkowicza. Pominając nawet uzurpowanie imienia sławnego pisarza oraz profanację zaszczytnego miana „rektor szkoły wyższej”, wyłania się pytanie, co powiedzieć o „resorcie właściwym”, którego dyrektor z tytułem doktora jakichś nauk na pytanie dziennikarza, dlaczego temu człowiekowi udzielono kolejnego pozwolenia na założenie trzeciej szkoły wyższej, z rozbrajającą szczerością odpowiada, że przecież nazwisko wspomnianego nie figuruje w rejestrze skazanych!!! (po tej wypowiedzi rodzi się pytanie, co powiedzieć o placówce naukowej, która mu ten stopień nadała?). Trudno o mocniejsze potwierdzenie faktu, że nasi maturzyści (wspomniane „dziedzictwo” narodowe), które „powinno być chronione i bronione” zostało oddane „rynkowi” jak zwykła usługa i to w ręce ludzi do tego nieposobnych – przez najważniejszy w tym zakresie urząd, który powinien w imieniu całej Rzeczypospolitej i wszystkich jej obywateli czuwać nad „ochroną i obroną” rzetelności w tej bodaj, długofalowo, najważniejszej dziedzinie życia społecznego.

A czy sam stopień doktora jakiejś nauki (a bywają i magistry) powinien wystarczyć do założenia szkoły wyższej i wykładania w niej? – Wydawać by się mogło, że ponieważ chodzi tu nie tylko o wiedzę na wyższym poziomie, lecz również o umiejętności jej przekazywania oraz wdrażania pewnych pożądaných społecznie reguł postępowania innym, sam stopień naukowy nie powinien decydować, lecz także powinny być brane pod uwagę sprawdzone w praktyce umiejętności pedagogiczne i wychowawcze.

#### 4. Wnioski

W sumie, lata refleksji nad „wyższym szkolnictwem prywatnym” prowadzą do wniosku, że urządzenie go w Polsce na zasadzie „rynkowej” jest „sponsorowanym” (w przeważającej mierze) przez państwo, korumpującym i korupcyjnym, wielorakim, groź-

nym społecznie oszustwem, które już obecnie znajduje swój wyraz (często nagłaśniany w środkach informacji publicznej) w nieetycznych i łamiących prawo zachowaniach ludzi polityki, gospodarki i wielu dziedzin życia społecznego. Czy „resorty właściwe” i „ekipy rządowe” oraz ich byli i przyszli ministrowie zdają sobie sprawę ze zgubnej roli takiej tolerowanej przez się „edukacji”? – Powiem wprost, jeśli niezwłocznie nie podejmą one działań powstrzymujących tę lawinę niegodziwości, sami zasadnie będą oskarżeni o ich „chrzestne ojcostwo-macierzyństwo” takiej właśnie Rzeczypospolitej, „jaką zapewniają chowaniu młodzieży”. Warto dodać, że łatwo będzie także ustalić z nazwiska tych wszystkich „uczciwych” polityków, którzy w swej niewiedzy i/lub naiwności być może osobiście przyczynili się do kontynuowania, a zatem i umacniania obrazu Polski jako kraju wysokiej korupcji. Co o ich profesjonalizmie i stopniach oraz tytule naukowym (wszak na urząd ten z reguły powoływane są osoby ze świata akademickiego) – jako osobach odpowiedzialnych za ten stan rzeczy – będą myśleć ich dzieci i wnuki oraz współczesne im obecne i przyszłe pokolenia innych narodów? Władze państwowe powinny jak najszybciej wyeliminować te anomalie, przecież ich tolerowanie nie jest mniej, a chyba nawet wielokrotnie bardziej szkodliwe społecznie niż korupcja w piłce nożnej czy w szkołach nauki jazdy, którymi od niedawna zajmuje się prokuratura.

Nie trzeba tu dowodzić, że traktowanie szkolnictwa wyższego jako zwyczajnej działalności gospodarczej w polskich warunkach nie ma nic wspólnego z zasadami pierwszej – jednej z najlepszych w świecie – powoływanej tu prywatnej uczelni w USA. Na dodatek „i w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu”! Gdyby chciał uzyskać przynajmniej produkt ryżowi podobny, trzeba by wziąć się porządnie do roboty. Ale czy kowal jest w stanie dobrze dobrać mąkę, przygotować ciasto i należycie upiec chleb (a jeśli czynić jakiegokolwiek analogie, to przecież chodzi tu nie tyle o zwykły chleb nasz powszedni, lecz raczej o galanterię piekarniczo-cukierniczą o wysublimowanym smaku).

Łatwo zgodzimy się z postulatem, że kluczem do naprawy szkolnictwa jest zwiększenie uposażeń nauczycieli wszystkich szczebli, ale jednocześnie musimy pamiętać, iż bez jednoczesnego zwiększenia ich wewnętrznej dyscypliny i wymagań od siebie, i w konsekwencji od powierzonej im opiece młodzieży, niewiele da się osiągnąć.

Od zarania polskie szkolnictwo prywatne – jak to w działalności rynkowej być powinno – kieruje się głównie efektywnością (a często zwykłą chciwością) finansową. Jest więc chyba rzeczą zrozumiałą, dlaczego znalazło się tak wielu rączych jego organizatorów i „mecenatów”. Z wieloletniej obserwacji tego szkolnictwa wynika, że tam, gdzie głównym jego celem jest pogoń za pieniędzmi, tam znika etyka zawodowa i troska o wysokie standardy jakości absolwentów. Zatem pogoń za pieniędzmi jest wmontowanym w to szkolnictwo czynnikiem destrukcji. Obecnie w odniesieniu do większości prywatnych szkół wyższych, terminy „szkolnictwo” i „wyższe” mają niewiele wspólnego ze swoją rzeczywistą treścią. Tym większym smutkiem napawa, że tegoroczna publiczna

dyskusja nad ministerialnym programem reformy nauki i szkolnictwa wyższego tylko w niewielkim stopniu obrazuje horror, z jakim mamy do czynienia w zdecydowanej większości prywatnych szkół wyższych.

Z docierających zewsząd informacji na temat zamierzonej reformy wynika nieodparte przeświadczenie, że znowu tym razem nie chodzi o poprawę jakości kształcenia, lecz głównie o ułatwienie dalszej prosperity „rynkowi” szkolnictwa prywatnego. Nie bierze się przy tym pod uwagę urągającego wszelkim standardom kształcenia zdecydowanej większości szkół prywatnych. Zakłada się zatem, że jest ono dobre i dla pełniejszej „doskonałości” należy tylko odjąć mu kłopotów kadrowych, wynikających z obowiązującego minimum kadrowego dla poszczególnych kierunków nauczania. A przy liberalnym wydawaniu zezwoleń na powoływanie coraz to nowych prywatnych (i nie tylko) szkół wyższych oraz nowych kierunków nauczania kłopoty kadrowe rzeczywiście narastają!

Jeżeli obecny rząd chce naprawdę ulepszyć to szkolnictwo (które śmiało w swej większości można nazwać szkodnictwem) i odjąć mu kłopotów, z którymi nie umie sobie poradzić, to zważywszy na demoralizująco niski jego poziom w zdecydowanej większości szkół prywatnych, można by doraźnie szybko kłopoty te złagodzić, niezwłocznie zamykając ponad połowę tych szkół (z różnych względów nie mówię tu o 90% – co byłoby adekwatniejszym odzwierciedleniem obecnego stanu jego jakości – mam bowiem nadzieję, że zamknięcie ponad połowę z nich i ścisły monitoring jakości kształcenia w pozostałych na „rynku” będzie wystarczającym sygnałem do poważnego traktowania ich zadań, wynikających z tradycji akademickich oraz polskiej Ustawy o szkolnictwie wyższym, jednocześnie zaś ostrzeżeniem, że przy kontynuacji dotychczasowych praktyk czeka je podobny los. Działaniu temu – dla zmniejszenia oporu zaangażowanych w szkolnictwie prywatnym nauczycieli akademickich – powinna towarzyszyć znacząca poprawa płac w szkolnictwie państwowym. Krok ten mógłby jednocześnie przeciwdziałać ich pędowi do chałturzenia i stworzyłby warunki do podniesienia na wyższy poziom upadające badania naukowe w wyższych uczelniach kraju.

Moim zdaniem dzisiejszy niewielki przyrost prac badawczych oraz doktorów habilitowanych ma swoją przyczynę w łatwości chałturzenia przez doktorów jednocześnie w wielu uczelniach, ze szkodą dla ich rozwoju naukowego.

Osiągnięcie dna kształcenia i antywychowania przez zdecydowaną większość prywatnych szkół wyższych nie byłoby możliwe bez pomocy opłacanych z kieszeni podatników polityków i urzędników państwowych (a w pewnym sensie i samorządowych). Istniejący stan woła więc przede wszystkim o zreformowanie reformatorów.

Dobrze byłoby, zatem aby pełniejszym głosem docierali do rządowych reformatorów, nie tylko przedstawiciele „wolego rynku” – których reformatorskie myśli już w wielu dziedzinach życia społecznego przyniosły niestety oplakane rezultaty, a rzeczywistość społeczna Polski od 1989 r. nie potwierdza ich genialności. Ani tylko ci, którzy



zdobywszy doktoraty (czasem habilitacje), kierują się możliwością „dorabiania” w szkolnictwie prywatnym (zresztą piastując często eksponowane stanowiska rządowe, samorządowe i inne oraz, przymykają oczy na praktykowane w omawianym szkolnictwie metody kształcenia, lecz również ci, którzy za wystawianie sprawiedliwych ocen bywali zwalniani z pracy w uczelniach prywatnych lub sami odchodzili, nie godząc się na oszukiwanie siebie i społeczeństwa.

Jak to się dzieje, że kierownictwa uczelni nie wiedzą, jak postąpić w ewidentnym przypadku „poprawienia” (3 dni później) niedostatecznego stopnia wystawionego przez profesora czterem studentkom przez doktora (i późniejszego prodziekana) za wiedzę (a może nawet sugestią dziekana wydziału)? Czy nie jest to już sprzeniewierzenie się prawu i etyce zawodowej nauczyciela? A może jest to nieświadoma edukacja do nieuczciwości i oszustw? ...

W sumie – jak zanieczyszczenie wody szkodliwymi substancjami chemicznymi czyni ją na stulecia (a w niektórych przypadkach nawet na tysiąclecia) szkodliwą dla zdrowia i życia ludzi oraz pozostałej – otaczającej ich – biocenozy Ziemi, tak pozorowana edukacja zdecydowanej większości prywatnych szkół wyższych może na długo spowodować zahamowanie procesów demokracji i racjonalizacji życia społeczeństwa zamieszkałego między Odrą i Bugiem. Zgubne oddziaływania tego szkolnictwa – które w moim przekonaniu jest w istocie wielorakim szkodnictwem – nie ogranicza się bowiem tylko do „równania w dół” słabo (lub wcale w szkole średniej) przygotowanych kandydatów do kształcenia na poziomie wyższym, ale obniża także rozwój umysłowy, trafiającej się tam pewnej części zdolnej młodzieży, która z różnych powodów nie podjęła studiów w uczelniach państwowych, a zasługuje na prawdziwe studiowanie.

Obie te kategorie studentów w odpowiednich warunkach kształcenia mogłyby stać się solą ziemi, znacząco pomnażającą pożytki społeczne, łącznie z tymi, którzy na studiach prywatnych i państwowych „zaocznych” zmuszają lepiej przygotowane koleżanki/kolegów do równania w dół. W istniejących warunkach stanu przejściowego od 1989 r. przyjdzie im konkurować z gorzej (lub wcale) przygotowanymi, lecz ambitnymi osobnikami, którzy oddadzą się pod wodzę populistów i będą narzucać tym lepszym i całemu społeczeństwu swoje „niezmacone” wiedzą rządzenie i zarządzanie.

Moim zdaniem do polityki państwa powinno należeć mądrzejsze (niż sprawia to obecny „rynek” wyższego szkolnictwa prywatnego) zagospodarowanie maturzystów nie odebranych do studiów wyższych przez zagraniczne i polskie uczelnie państwowe. Polityka ta powinna uwzględniać potrzeby polskiej gospodarki i życia zrównoważonego (już obecnie wiadomo, że Polsce brakuje inżynierów i techników w różnych dziedzinach gospodarki). Tymczasem wygląda na to, że czynniki właściwe nie prowadzą żadnej polityki w tej dziedzinie poza tworzeniem warunków do wspomnianej konkurencji między szkołami prywatnymi, często niesłusznie nazywanymi „wyższymi”. Najlepiej świad-

czy o tym otwieranie coraz to nowych oraz mnożenie już istniejących kierunków wielce teoretycznego i powierzchownego nauczania – dodajmy – kandydatów, którzy nie sprośali wymaganiom zagranicznych i państwowych uczelni polskich (łącznie z niestacjonarnymi). Jednakże prawdziwą „politykę”, w znaczeniu, jakie temu terminowi nadawane jest przez organy Wspólnoty Europejskiej, trzeba dopiero wypracować (nie tylko zresztą w tej dziedzinie). Przede wszystkim jednak trzeba poważnie rozważyć, czy Polsce jest na przykład potrzebna tak wielka liczba kierunków zarządzania i administracji, marketingu itp. (pod wszelkimi zresztą postaciami i dla wielkiej gamy dziedzin życia społecznego), zwłaszcza gdy przeanalizuje się ich (często dalekie od życia) programy nauczania oraz obsady kadrowe. Na początek wystarczy zresztą baczniej przyrzeć się sposobom zarządzania w tego typu uczelniach (np. obiegowi wewnętrznej informacji, niefunkcjonowaniu tak ważnych w szkolnictwie wyższym: ciał kolegialnych (senatu, rad wydziałowych, komisji dyscyplinarnych, trzymania długich kolejek studentów przy okienkach dziekańskich i kwestorskich itp., a wszystko to pod reklamą dobrego „zarządzania” lub dobrej „administracji”).

Poprzez odrywanie nauczycieli szkół państwowych od ich stałego miejsca zatrudnienia pośrednio już obniżony został ich wkład w kształcenie prawidłowo wyselekcjonowanej (czyt. nadającej się) do kształcenia młodzieży również na studiach dziennych uczelni państwowych.

Proceder wieloletowości i wielorakich zatrudnień (w instytucjach rządowych i samorządowych) z natury rzeczy powoduje także równanie w dół (być może nie aż tak głębokie, jak w szkołach prywatnych). Nie zapominajmy także, iż edukacja studentów zaocznych w uczelniach państwowych, przez jej masowość, już od dawna w dużym stopniu zbliża się do omawianego tu poziomu szkolnictwa prywatnego.

To właśnie nagminne chałturzenie w wielu szkołach nauczycieli akademickich, zwłaszcza doktorów, jest przyczyną zastoju ich rozwoju naukowego i zdobywania stopnia doktora habilitowanego. W konsekwencji zaś, przyczyną zastoju w nauce polskiej. Nie sposób bowiem uznać za wyraz rozwoju naukowego liczne krajowe (a nawet międzynarodowe) konferencje, umożliwiające pracownikom nauki parę razy do roku, w różnych miejscach, wielokrotne powtarzanie dawniejszych opracowań. W ten oto sposób zamyka się błędne koło „równania w dół”, a właściwie dołowania szarych komórek w naszej Ojczyźnie.

### Przypisy

- [1] Od wiosny 2008 dotyczy ona zwłaszcza rządowego projektu reformy szkolnictwa wyższego, podjętego przez koalicyjny rząd Platformy Obywatelskiej i Polskiego Stronnictwa Ludowego. Z dyskusji tej wynika, że od dawna nie radzimy sobie z najcenniejszym kapitałem, jakim jest w coraz większym stopniu kapitał ludzki. W niniejszej wypowiedzi pragnę zwrócić uwagę na

konieczność rozpatrywania tego zagadnienia całościowo, bo sposób „chowania młodzieży” jest procesem powiązaniem od czasów przedszkolnych po doktorat. Zatem parafrazując słowa dawnego naszego wielkiego męża stanu „...taka będzie nauka i rządzenie krajem”, jakie od przedszkola po doktorat szkolnictwo. Nie powinno być obecnie wątpliwości co do tego czy powinniśmy zaczynać naukę podstawową od 6. roku życia dziecka. Przyspieszony obecnie rozwój osobowy w pełni uzasadnia pójście w ślady krajów zachodnich.

- [2] Jedynie K. Modzelewski w wywiadzie pt. *Uczelnie: równaj w dół*, dał mocny wyraz mizarii kształcenia w WSP, a jednocześnie wskazał na degenerujący jego wpływ na szkolnictwo państwowe (por. „Gazeta Świąteczna”, 12-13 kwietnia 2008, s. 16 i n.). Można się domyślać przyczyn tego ostrożnego zachowania pracowników naukowych i – jak powiada wspomniany autor – „erozji etyki zawodowej wśród uczonych”.
- [3] Media donoszą, że od 30-90% tych prezentacji stanowi wytwór specjalizujących się w tym procederze osób (studentów, a nawet – o zgrozo! – nauczycieli !!!). Poważnie musi zastanawiać fakt, że pełne szpalty ogłoszeń prasowych i internetowych oferujących takie „usługi” dotychczas nie zaalarmowały odpowiednich „właściwych” urzędów rządowych i samorządowych oraz rad pedagogicznych do zdecydowanego zwalczenia tego wielce szkodliwego procederu. Wiadomo bowiem, że jest on następnie kontynuowany, z jeszcze większą nonszalancją, na studiach wyższych (zwłaszcza masowych zaocznych), gdzie wspomniana masowość nie sprzyja zindywidualizowanej pracy z każdym studentem. Następnie zaś te oszukańcze metody przenoszone są do życia społecznego i błędne koło polskich niemożności się zamyka. Co się tyczy „prezentacji maturalnych”, to wydaje się, że trzeba z nich zrezygnować na rzecz wielu esejów z obowiązkowych lektur w trakcie poszczególnych okresów roku szkolnego. Jednakże, jeśli studia wyższe mają pozostać studiami, to nie wydaje się słuszne zrezygnowanie z prac licencjackich i magisterskich. Należałoby się raczej poważnie zastanowić nad sposobami wyeliminowania oszustw i nieprawidłowości w pracy nad nimi (np. przez zaostrzenie dyscypliny uczestnictwa i postępów prac seminaryjnych w małych, najwyżej 10-15 osobowych grupach, m.in. przez jednolite w całym szkolnictwie skreślanie seminarzystów niewykazujących bieżących postępów nad pracą dyplomową).
- [4] „Woda nie jest produktem handlowym podobnym do innych, lecz raczej dziedzictwem i jako takie powinno być chronione i bronione” (Paragraf (1) preambuły ramowej Dyrektywy wodnej 2000/60/WE) z 23 października 2000 r.
- [5] Wielce wymownym tego przykładem była dyskusja publiczna w mediach, w połowie lat 90. ub. w., związana z przybyciem do Polski z Wielkiej Brytanii potomka rodu Zamoyskich i jego zszokowania tym procederem oraz zdziwione jego postawą reakcje nauczycieli w jednej z prywatnych uczelni Zamościa.
- [6] Por. np. B. Igielska, *Egzaminy: uwaga na miny*, „Polityka” nr 24(2658), 14 czerwca 2008, s. 101 i n.
- [7] Np. S. Tym pisze: „Kilka lat temu podano w prasie alarmujące wyniki badań nad reprezentatywną grupą Polaków. Reprezentantom dano do przeczytania tekst w gazecie, a następnie spytano, o czym był ten tekst. Blisko trzy czwarte nie miało zielonego pojęcia. Sprawdzenie powtórzono z wiadomościami telewizyjnymi. Trzy osoby na dziesięć umiały powtórzyć sens wiadomości, 70% płało się w zeznaniach ...Parę dni temu przeczytałem w „Polsce” artykuł Magdaleny Kuli o tym, że szkoły wychowują analfabetów. Tylko jedna trzecia uczniów kończących szkołę podstawową umiała poprawnie napisać krótkie wypracowanie, które było ogólnopolskim sprawdzianem (zob. *Skrót myślowy*, „Polityka” nr 23 (2657), 7 czerwca 2008, s. 103).

- [8] Wyższe szkoły prywatne w roku 2004/05 kształciły nieco ponad 1/3 studentów w Polsce (por. *OECD thematic review of tertiary education, Country Background Report for Poland*, Warsaw July 2006, p. 24 u góry.
- [9] W okresie mego dziesięcioletniego obcowania z prywatnym szkolnictwem wyższym (i ponad 55 letniego w szkolnictwie państwowym, krajowym i zagranicznym), w rozmowie z przedstawicielem tylko jednej szkoły byłem zapewniany, że stosują 100-osobowy limit przyjęć na poszczególne kierunki i po pierwszym roku nie wahają się skreślić nawet 80% studentów, którzy nie spełniają wymogów egzaminacyjnych pod koniec pierwszego roku studiów.
- [10] Por. C. Bywalec, *Znieść prace licencjackie*, „Przegląd” nr 21 (439) z 25 maja 2008, s. 38 i n. Niedawno dowiedziałem się, że niektóre wyższe szkoły prywatne wprowadzają dodatkowe antybodźce przeciwko należytemu przykładaniu się nauczycieli akademickich do kierowania pracami dyplomowymi przez obniżenie honorarium za pilnowanie ich jakości (w tym sprawdzającego czytania ich poszczególnych wersji) do 70 PLN za przyjętą pracę.
- [11] Osobiście uważam, że chętniej do studiowania młodzieży, która nie zakwalifikowała się do stacjonarnych studiów zagranicznych i polskich uczelni państwowych, należy stworzyć zawodowe kierunki kształcenia pomaturalnego lub wyższego, a nie kształcić jej wielce teoretycznie w rozlicznych dziedzinach administracji i zarządzania.

### **The urgency to improve the quality of private higher education in Poland**

The author, who has been involved in higher education teaching for about 60 years (including about a decade abroad and another decade in the Polish private higher education schools), calls for an urgent reform of the majority of the existing private tertiary education establishments in Poland. Generally the quality of private higher education in Poland (re-established in 1991) is very low. This realisation seems to challenge the post-1991 domestic private higher education foundation premise which assumed that this sphere of human activity can be treated as a commercial good. Presently one third of the total number of the Polish students who have not been granted admission by foreign or Polish state universities are studying in numerous private higher learning institutions. It means that the preparation and predispositions of those students for higher level education are generally beneath the entry examination requirements of the above mentioned state universities. In consequence those students should require higher quality individual care (especially tutoring) than that at the disposal of the domestic private schools. However, in practice those schools are short of high quality academic personnel and the teaching is usually done by rather inexperienced people. In addition, those schools do not provide tutorials in small student groups (except for languages). A teacher of a core subject may have as many as 350-600 students at lectures. A closer look at the founders of the private higher learning schools makes one notice that they do not follow the noble rule of bringing up young people but are rather preoccupied with getting as much money out of this activity as possible. Some of them could possibly be good enough as managers in some other businesses, but generally not in such delicate activity dealing with the minds of the young people. In conclusion, the author suggests discontinuing at least half of the existing more than 300 of such private higher schools and taking under strict quality control the other half.

**Key words:** private higher education in Poland, education in sustainable development and climate change, educational standards, commercialization of higher education